GOŚĆ NIEDZIELNY

Dodatek Tygodniowy do „Ziemi Pomorskiej"

Nr. 40 | **Toruń, na niedzielę 3 października 1926 r.** | **Rok II**

SŁOWO BOŻE

Na niedzielę dziewiętnastą po Świątkach

Lekcja.

Bracia! Odnówcie się duchem umysłu waszego, i obleczcie się w nowego człowieka, który wedle Boga stworzony jest w sprawiedliwości i świętobliwości prady. A przetoż złożywszy kłamstwo, mówcie każdy prawdę z bliźnim swoim, bo jesteście członkami jeden drugiego. Gniewajcie się, a nie grzeszcie; słońce niechaj nie napada na rozgniewanie wasze. Nie dawajcie miejsca djabłu. Który kradł, niechaj już nie kradnie, lecz raczej niech pracuje, robiąc rękoma swemi co jest dobrego, aby miał skąd udzielić mającemu potrzebę.

Ewangelja.

Mat. XXII. 1—14.

W on czas mówił Jezus przedniejszym kapłanom i Faryzeuszom przez przypowieści, rzekąc: Podobne się stało królestwo niebieskie człowiekowi królowi, który sprawił gody małżeńskie synowi swemu. I posłał sługi swoje wzywać zaproszonych na gody, a nie chcieli przyjść. Zasię posłał insze sługi, mówiąc: Powiedźcie zaproszonym: otom obiad swój nagotował, woły moje i karmne rzeczy są pobite, i wszystko gotowe; pójdźcie na gody. A oni zaniedbali i odeszli, jeden do wsi swojej, a drugi do kupiectwa swego; a drudzy pojmali sługi jego, i zelżywość im uczyniwszy pobili. A usłyszawszy król rozgniewał się, i posławszy wojska swe, wytracił one mężobójcę, i miasto ich spalił. Wtedy rzekł służebnikom swoim: Godyć są gotowe, lecz zaproszeni nie byli godnymi. A przeto idźcie na rozstanie dróg, a którychkolwiek nadejdziecie, wzywajcie na gody . I wyszedłszy słudzy jego na drogi, zebrali wszystkie które naleźli, złe i dobre; i napełnione są gody siedzącymi. A wszedł król, aby oglądał siedzące, i obaczył człowieka nie odzianą szatą godową. I rzek mu: Przyjacielu, jakoś tu wszedł nie mając szaty godowej? A on zamilknął. Tedy rzekł król sługom: Związawszy ręce i nogi jego, wrzućcie go w ciemności; tam będzie płacz z grzytanie zębów. Albowiem wiele jest wezwanych, lecz mało wybranych.

Nauka na niedzielę dziewiętnastą po Świątkach

„Podobne się stało Królestwo niebieskie człowiekowi królowi, który sprawił gody małżeńskie synowi swemu". (Mat. 22, 2).

Król, sprawiający gody Synowi Swemu, jest Bóg Ojciec, który chciał, aby Syn Jego złączył się z naturą ludzką przez Swoje wcielenie. Syn Boży nie poprzestał na złączeniu się z człowieczeństwem, ale chce nadto połączyć się z każdym człowiekiem. To czyni na ziemi, gdy przychodzi do duszy człowieka w Najświętszym Sakramencie; to czyni w Niebie, gdy się łączy z duszami wybranych przez światło chwały i nigdy już nie oddali się od nich, a gody wiecznie trwać będą. Sala godowa obszerna, bogato i wspaniale przybrana. „O Izraelu, jako wielki jest dom Boży i niezmierne miejsce osiadłości Jego". (Baruch 3, 24). Wszyscy godujący będą królami, ale bez pychy, bez dumy i bez wyniosłości. Święci siedzieć będą przy stole Bożym i będą nasyceni dobrami. Na te gody cały świat jest wezwany: bo Pan Bóg chce zbawić wszystkich ludzi, dając im łaski do zbawienia potrzebne; ale mało takich, którzy przybędą na te gody: nie dlatego, aby nie mogli, lecz dlatego, że nie chcą. Jedni nie odmawiają wprawdzie wezwaniu, ale wymawiają się przeszkodami: to są tacy, którzy przywiązani do dóbr i uciech świata, odkładają swoje nawrócenie z dnia na dzień. Inni zabijają sługi królewskie, zapraszające ich na gody: a to są ci, którzy tłumią w sobie natchnienia łaski, zachęcające ich do życia pobożnego. Do których ty należysz? czy nie jesteś z liczby tych, co odkładają swe nawrócenie szczere do Boga, gnuśni i leniwi, nie pamiętając o tem, że Bóg może ich odrzucić? czy nie należysz do owych, co gardząc łaskami, krzyżują w swem sercu Chrystusa? Jesteś wezwany na gody niebieskie — co odpowiesz na to w godzinę śmierci?

Oprócz gód niebieskich są jeszcze ziemskie. Syn Boży przez Komunję świętą łączy się z duszami, które go przyjmują godnie. Kto się przywiązuje do Boga przez miłość, mówi święty. Paweł, staje się z Nim jednym duchem, a kto się łączy z Bogiem przez Komunję świętą, staje się z Nim nietylko jednym duchem, ale jeszcze jednem z Nim ciałem. Jakaż to chwała dla duszy stać się oblubienicą Boga! jakże wielkie pożytki czerpie dusza z tego połączenia! Wszystkie dobra Jezusa Chrystusa do niej należą:

Jego Ciało, Dusza, człowieczeństwo, Bóstwo i wszystkie Jego zasługi: bo prawem złączenia wszystkie dobra oblubieńca należą do oblubienicy. Lecz cóż On odbiera za to od duszy? nędzę i niewdzięczność. Czego od niej wymaga? miłości i posłuszeństwa. I czyż to trudne warunki? Czegóż z obawą i leniwie przystępujesz do świętej uczty? Chrystus pragnie się z tobą połączyć. — Król, dowiedziawszy się, że zaproszeni na gody źle się obeszli z jego sługami, posyła wojsko, które pali ich miasta i wszystkich mieczem wycina. I Pan Bóg karze tych, co są niedbali w przystępowaniu do stołu Jego: dopuszcza na nich nieszczęścia różne, choroby, a nawet i śmierć niespodzianą. Jak przystępujesz do Kumnji świętej? czy pragniesz gorąco łączenia się z Jezusem Chrystusem, Oblubieńcem twej duszy? Korzystaj z łaski Bożej, póki czas!

Król rozkazał wezwać ubogich, chorych, ślepych, chromych na gody Syna Swego. Przyłącz się do ich liczby i w pokorze nędz duchowych przystąp do Jego Stołu; jesteś ubogi, chromy i ślepy: a tacy właśnie zaproszeni są na tę ucztę. Przedstaw Jezusowi swoją nędzę, chorobę duszy, a On cię uleczy. — Gdy wszedł gospodarz na salę godową i zobaczył człowieka bez szaty godowej, kazał go wyprowadzić, związać i wrzucić w ciemności. Do przyjęcia Komunji świętej potrzeba mieć szatę godową, to jest potrzeba mieć serce czyste, wolne od grzechu śmiertelnego. Przedewszystkiem potrzeba mieć miłość bliźniego i nie chować nienawiści w sercu. Kto bez tej szaty przystępuje do stołu Pańskiego, zasługuje na gniew Boży, będzie z godów wyrzucony i wtrącony do piekła. O Boże! cóż uczynię? jeżeli wymiawiać się będę od gód Twoich, zasłużę na gniew Twój; jeżeli pójdę na nie bez szaty godowej, odrzucisz mnie od Siebie. Pragnę przybrać się w szatę godową, abym mógł być uczestnikiem na godach Twoich. O duszo moja! przygotuj się jak najlepiej, jeżeli suknia twa splamiona grzechem, obmyj ją w Sakramencie Pokuty, pojednaj się z bliźnim twoim, a będziesz pożywała u Stołu Boga twego.

Rycerze świętej Kingi.

(Powieść z lat dawnych).

(Ciąg dalszy).

Zadrżała ziemia pod kopytami niezliczonej jazdy tatarskiej, zabłysły krzywe szablice, a od świstu strzał, rżenia i tętentu koni nie słychać było rozkazów naszych wodzów. W powietrzu unosiły się smugi smrodliwego dymu, który rozchodził się z palonych przez Tatarów materji jakichś. Wiatr, który dął zlekka dnia tego, niósł te kłęby dymu wprost na nasz obóz, od czego dusili się ludzie i konie.

Wojewoda Włodzimierz zebrał kilka hufców co najmężniejszego rycerstwa i uderzył w zbite masy jazdy mongolskiej. Zamiast oporu rozstąpili się poganie na dwie strony, i nasi w całym impecie wpadli w sam środek ich wojska. Jam był przy wojewodzie. Widziałem, jak sam walczył za stu rycerzy, jak pierzchali przed nim najśmielsi z pogan.

Atoli nikt nie przewidział podstępu i zdrady piekielnej.

Udając ucieczkę, jazda wroga wciągnęła wojewodę w głąb pola, na którem znajdowały się zasieki i doły wcześnie pokopane, chróstem przykyrte, ziemią przysypane. Ginęli tutaj nasi, obskoczeni przez zamykające się za nimi, jak fale morskie, zastępy azjatów. Koń wojewody Włodzimierza padł, wódz chciał powstać, wtem dziesiątek strzał przeszył mężne jego piersi. Padł, a jeden z Tatarów, istny olbrzym, ciął go w szyję i wkrótce głowę jego na szabli zatknąwszy, z tryumfem z nią popędził przed chana.

Całą okolicę Chmielnika, jak okiem sięgnąć, pokryły wojska chana. Przed południem już mniejsza tylko część walczyła naszych, reszta legła snem wiecznym. Tatarzy obdzierali zabitych i rannych, ucinali im uszy i nogi. Kilku zaledwie oddziałów przebiło się przez ich szeregi lecz i za tymi pogoń szybką puszczono. Co z nich nie padło w ucieczce, to dało gardło w poblizkim borze, gdzie w zasadzce czatował dziesięciotysięczny oddział mongolski. Była to wyborowa jazda. Nie wielu z nas w tym pogromie ocalało. Ja i dziesięciu innych rycerzy natrafiliśmy na oddział nieprzyjaciół, którym przywodził jeden z naszych.

Rycerz umilkł, a krzyk oburzenia rozległ się w sali.

— Hańba niesłychana! — zawołał książę. — Mongołów prowadził rycerz chrześcijański!

— Tego nie wiem, czy on chrześcijanin — odparł opowiadający — jeno to wiem, że Polak. Umyślnie zwrócił on konia swego i oddział, który miał na nas natrzeć, w inną stronę, przyczem krzykną: „Do Krakowa!... zamówcie tam dla nas gospody!...“ — Wówczas krew zakipiała we mnie, zawróciłem konia i natarłem na nędznika. Chwilę ścieraliśmy się. Jam uległ. Nędznik, młody jeszcze, lecz silnej ręki, zwalił mnie z konia.

Gdym myślał, że ostatnia godzina moja wybiła, on zakrzyczał głosem gromkiem:

— Kto chce panować, ten nie znęca się nad przyszłym poddanym. Wstań i uchodź!... Może się jeszcze spotkamy w Krakowie lub w Wrocławku. Tam moje gniazdo... i tam też tron złoty dla siebie ustawić każę. A może chcesz mi służyć?... Mów!

W tej chwili zamroczyło mi się w oczach, straciłem przytomność. Gdym rozwarł oczy, rżał nade mną koń mój wierny, a dokoła zapadła noc była już głucha. Wstałem, z trudem dostałem się na siodło i zwolna podążyłem w stronę Krakowa.

Po drodze spotkałem tych oto towarzyszy i wraz z nimi przybyłem do stóp najmiłościwszego pana naszego z tak strasznemi wieściami.

Serce każdego z obecnych jak zmora przydusił żal i rozpacz.

Pierwszy porwał się z miejsca książę i załamawszy ręce, z głową pochyloną, z oczyma pociemniałemi od bólu, zapytał przez zaciśnięte zęby:

— A dzielni i wierni moi słudzy i przyjaciele, wojewoda Klimunt i kasztelan Jakób Raciborowicz czy polegli?

— W oczach naszych strzały i pociski ich przeszyły — odparł rycerz.

Książę ukrył twarz w dłoniach i żal wielki zatrząsł jego schorowanem ciałem.

— A rycerz nad rycerze, Krysytn Sułkowic z Niedźwiedzia — zapytał po chwili zdławionym głosem — czy też poległ?

— W ziemi on już. Sam rzucił się na cały oddział Mongołów i sprawiwszy srogą rzeź wśród nich, włóczniami został przeszyty. Nie ujrzymy go więcej!...

Książę załkał, lecz wnet ból pohamował i znowu zapytał:

— A Wojciech Stampoczyc, Mikołaj Witowic?... a Ziemięta, który na turniejach sam na dwunastu rycerzy się rzucał i z koni ich zbijał?....

— Pamięć wieczna i światłość Boża nich im świeci — nie żyją!

Tu już żal ogólny wstrząsnął piersiami wszystkich obecnych.

Młodzi dworzanie uderzyli w rękojeści szabli, starsi głośno wykrzknęli:

— Biada nam!... biada!... najdzielniejszych z pośród nas zabrakło!..

Książę Bolesław oparł się na jednym z dworzan: cios był za silny... Jak podcięte drzewo młode, tak zachwiał się i omal nie runął bez zmysłów na posadzkę.

Poskoczył rycerz z Lipowa i silnem ramieniem podtrzymał pana.

— Biada nam! — szepnął książę, odzyskawszy przytomność. — O, gdybym mógł za miecz chwycić!... Czemuż Bóg niemoc zesłał na mnie?...

I złamany nieszczęściem, siadł na krześle i głowę ukrył w dłoniach, i drżał całem ciałem, jak liść wątły, miotany siłą huraganu.

Boleść pana uszanowali dworzanie i dostojnicy, szczerze doń przywiązani: milczenie grobowe zaległo komnatę. Zdawało się, że kir tak silnie padł na serca wszystkich, że te naraz bić przestały.

Wtem drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł orszak niewiast z księżną Kunegundą na czele i księżną Grzymisławą. Zjawienie się niespodziane tych dwóch dostojnych niewiast, z których młodsza oprócz nadzwyczajnej urody niebiańską jasność miała w licach. Powstali wszyscy i ku księżnie młodej, jak ku jutrzence lepszej przyszłości, zwrócili oczy. Ona miała spokój wielki i słodycz nadziemską w spojrzeniu, wysmukła jej postać zdawała się unosić w powietrzu, złota nad czołem korona gorzała, jak gwiazda. Od niezywkłej białości rąk, które w tej chwili miała wyciągnięte w stronę księcia Bolesława, odbijało się łagodne światło palącego się łuczywa, jak od rąk świętej.

Dziwne, niewytłómaczone uczucie owładnęło sercami obecnych mężów dostojnych, posiwiałych w sprawach państwowych, gdy ukazała się ta w niedalekiej przyszłości Święta.

Była ona w tej chwili tem dla nich, czem dla przygniecionego straszliwą, gromową burzą świata, promień światła słonecznego.

Chmury pierzchały, ciemności się rozpraszały, gromy cichły, gdy słońce je swem boskiem światłem rozprószyło, ukazując błękity jasnego, wolnego od burz nieba.

Ona, ta młodziutka lilia — królowa, w której sercu płonęły uczucia święte miłości bezgranicznej, która ukochała Boga i wszystkich ludzi — oddziałała tak krzepiąco na zrozpaczonych przewodników państwa, jakby ujrzeli z niebios anioła zwiastującego, że krzyż zwycięży, że złe przeminie.

Pierwszy książę zbliżył się do księżniczki Kunegundy, a ona rzekła doń:

— Wraz z matką przychodzimy pocieszyć cię, książę i mężu mój, że niczem są wszelkie potęgi ziemskie wobec Boskich. Słyszeliśmy w przyległej komnacie, coście tu mówili.

— Bóg czuwa nad sprawiedliwymi — dodała księżna Grzymisława, pani lat podeszłych, wielce dorodna, o wyniosłej postaci, kochająca nad życie księcia Bolesława, jedynego syna. — Dziwny wypadek — mówiła dalej ta pani — prawie cudowny mam wam oznajmić. Oto ojciec Łukasz, którego już opłakaliśmy, ów świętobliwy pustelnik, którego daremnie wyczekiwaliśmy, dziś zrana powrócił, uszedłszy cało z mocy pogańskiej.

Po tych słowach wystąpił z za świętobliwych niewiast w szarym mnicha okryciu mąż o postaci wyniosłej, o obliczu napiętnowanem myślą wyższą, oczach wzniesiony ku górze, o rękach skrzyżowanych na piersiach i skłaniając głowę na piersi, rzekł:

— Bądź pozdrowion, miłościwy książę panie nasz!... Myślałem, że Bóg nie pozwoli już moim starym oczom oglądać cię w tem piastowskiem gnieździe.

Młody książę, słysząc dziwnie przejmujący otuchą głos starca-pustelnika, znanego sobie od lat pacholęcych, rozjaśnił czoło, wstał z krzesła i chwiejnym krokiem postąpił ku niemu.

— Ojcze Łukaszu — rzek — jestem, jak słabe drzewko wśród burzy.... Niema na świecie potęgi, któraby mi w tej chwili pomoc dać mogła... Poganie są pod murami Krakowa.

Na to pustelnik wzniósł dłonie jak do modlitwy i odrzekł:

— Bóg kazał nam żywić w sercu nadzieję... jedną z największych dźwigni tego świata. Bez niej smutnem by nam się wydało nawet słońce.... Bóg widzi cię, książę, widzi twe czyste serce... Schronić się, panie, na Węgry do królestwa ojca, potężnego króla Beli i przeczekaj czas burzy, zbierz siły...

— Tak mi radzicie, ojcze Łukaszu, a jam chciał głowę moją położyć tutaj, u wrót grodu króla Krakusa, niechajby poganie po niej wstąpili na Wawel...

— Mąż roztropny słucha głosu Bożego i nie zapomina, że odkąd umarł Chrystus na krzyżu, człowiekowi nie wolno wyganiać z serca wiary, nadziei i miłości. One nigdy w świecie chrześcijańskim nie gasną... Będą wieczne do skończenia i po skończeniu świata. Słaby jesteś na zdrowiu, książę, uchodź na Węgry lub w góry ojczyste.... Masz zamki w krainie karpackiej, masz wiernych ci górali, tam nie dosięgną cię prześladowcy.

Twarz starca, blada i wychudła, lecz ożywiona siłą ducha, wyrażała tyle umiłowania i przywiązania do młodego Piasta, że ten wahał się przez chwilę, lecz wreszcie rzekł:

— To, co mówicie, wydaje mi się jedyną radą dla gnębionego chorobą ciała mojego, choć duch chciałby tutaj pozostać, w murach zamku wawelskiego....

— On i tak tutaj pozostanie — rzekł z wiarą głęboką pustelnik. — Wierzaj mi, książę, wrócisz tutaj

po burzy... I orzeł kryje się wobec gromów, omija chmury gradowe...

Księżna wraz z matką stanęły przy Bolesławie i z miłością, a zarazem bólem wielkim wpatrywały się w jego twarz schorzałą.

— Usiądź, synu — rzekła księżna Grzymisława — usiądźcie zacni panowie, musimy odbyć naradę, w którą stronę i kiedy udać nam się należy.

Gdy rodzina książęca zajmowała miejsca, siadając blizko siebie, pan z Lipowa stał z głową spuszczoną, sercem, ściśniętem trwogą tajemną. Opowieść rycerza o owym młodym dowódcy Polaku, który zastępom tatarskim przywodził, nie wiedzieć dlaczego wielkie nań wywarła wrażenie.

Jakiś głos tajemniczy, złowrogi szeptał mu w duszy, mieszając rozum:

— To był syn twój, syn....

Pan z Lipowa zapomniał o swem poselstwie, jeno wpatrywał się to w rycerzy, którzy tę straszną wieść przynieśli, to w młodziutką księżnę Kingę, która jak słoneczko ze za ołowianych chmur przyświecała wszystkim w tej komnacie zebranym.

Wtem jeden z rycerzy, o zbroi poszarpanej, wystąpił przed pustelnika, przyklnąknął i skraj jego szarej sukni ucałował.

Starzec spojrzał mu bystro w oczy, podniesione ku sobie.

— Rycerz Stanisław Skała! — zawołał. — Bóg cię więc ocalił?... A jam was już wszystkich opłakał, którzyście w owej grocie przez Tatarów oblężeni byli... Pozwólcie, najmiłościwsi księstwo, ażebym uściskał jednego z najmężniejszych rycerzy.

To rzekłszy, ucałował czoło rycerza, jak ojciec uściskał go, pytając przytem:

— A ci dwaj Janek i Henryk, dworzanie miłościwej księżnej Grzymisławy, ci młodziniaszkowie czy żyją?...

— Wyszli cało z złej przygody, aleśmy ich zostawili przy tych dwojgu dzieciach.

Tymczasem pan z Lipowa witał się z księżną Grzymisławą, oddając jej własnoręczne pismo księżnej Jadwigi, z którą się te świętobliwe niewiasty serdecznie miłowały.

Księżna, jakkolwiek zajęta grozą chwili, zaraz kazała sobie jednemu z panów poświecić i przebiegła szybko pismo oczyma.

— Nie wiedzą o całej grozie naszego położenia — rzekła, zwijając pergamin po przeczytaniu pisma — trzeba zaraz odpowiedzieć, a wy, dziś jeszcze, zacny rycerzu, musicie wracać z tą odpowiedzią.

Pan z Lipowa przyklęknął na jedno kolano i odrzekł:

— Jestem na rozkazy wasze, najdostniejsza pani...

Szczęśliw dzień, w którym los pozwolił mi służyć wam....

— Pismo od nas do księstwa otrzymacie niebawem... krótkie będzie, bo chwila burzliwa, lecz ustnie zresztą dopowiecie.

— Miłościwej księżnie Jadwidze, pani najlepszego pod słońcem serca, wielce idzie o los pewnych sierotek... Co mam jej powiedzieć?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Siedem gwiazd.

(Podanie ludowe opowiedziane wedle starej książki).

(Dokończenie).

Za chwilę zjawiła się na ziemi czwarta gwiazda i jak poprzednie szła, wołając:

— Długie życie na sprzedaż! długie życie!...— Całe miasto zleciało się w mgnieniu oka na to wołanie. Ludzie tak się cisnęli, że omal jedni drugich nie podusili, a znosili wszystkie skarby co mieli, byle żyć długo.

Uśmiechnęła się gwiazda na ten widok, a pomyślawszy chwilę, rzekła:

— Zaraz , zaraz moi bracia, dam wam wiele chcecie, ale czyście kupowali towary od moich trzech sióstr, które tu były przedemną?
nic się nie przyda.

I tego nie kupiliśmy, bo ona żądała od nas postu, pracy, cierpliwości.

— A cóż twoje siostry sprzedawały?

— Jedna rozum.

— Nie kupowaliśmy go, bo nam go nie trzeba.

— Druga cnotę.

— Nie kupiliśmy, bo to dziś nic nie warta.

— Trzecia zdrowie.

— A więc bardzo mi przykro — odrzekła gwiazda — że odejdziecie odemnie z niczem, bo ludziom co nie mają rozumu, cnoty i zdrowia, długie życie na

Zamknęła sw pudło prędko, a z figlów dała kawałeczek swego towaru siedzącej na drzewie papudze. Odtąd papugi żyją 300 lat. Odeszła prędko do nieba i tam złożyła skrzynkę, a siostry witały ją ze smutkiem, ciekawie patrząc, jak też jeszcze trzy pozostałe sprzedadzą swój towar.

* * *

Piąta gwiazda wbiegła żywo do miasta i ogłosiła śmiało:

— Honor! sławę! tytuły i godności niosę!

Jeszcze silniej i jeszcze liczniej niż do długiego życia poczęto się zbiegać, trącać krzyczeć i o ten towar starać, że w nacisku owym trącono gwiazdę, pudełko jej wypadło, a towar wysypał się na ziemię. Porwali go — darli się nad nim — bili... a jeśli kto bodaj najmniejszy kawałeczek dostał, uciekał czemprędzej, aby mu kto go nie zabrał.

Gdy się wreszcie ludzie rozeszli, biedna gwiazda podniosła z ziemi... otrzęsła z prochu, podniosła swą skrzynkę i ze zdziwieniem obaczyła, iż prawdziwy honor, to jest cześć ludzi uczciwych została na dnie, a wysypały się tylko odznaki.

Wróciwszy do nieba, zwróciła Panu skrzynkę, a do sióstr rzekła:

— Będzie na ziemi wiele ludzi chcących uchodzić za mądrych, dobrych, poczciwych i wielkich, ale czcigodnych znajdzie się mało, bo wzięli tylko oznaki honorowe, a nie samą jego siłę i zasługę.

* * *

Ledwie się ludzie porozchodzili do domów, aż nowy krzyk powstał w mieście. Co żyło, goniło w jednę stronę, mówiąc:

— Idźcie, biegnijcie... a prędko, przyszła jakaś panna, sprzedaje przyjemności, i rozrywki

Niektórzy myśleli, że nogi połamią w tej gonitwie

po przyjemności, straż pożarna uderzyła w dzwon, sądząc, iż pali się w mieście.

I stało się to samo, co z ostatnią gwiazdą. Przewrócono ją, podeptano — a wysypane przyjemności zbierano z ziemi, wydzierając sobie nawzajem. Ale że każdy chwytał co bądź — nie uważał co bierze, a więc stało się, że przyjemności owe nie uradowały ludzi. Bo...

Kobiety chwyciły — polowanie.
Mężczyźni — koronki, kwiaty i suknie.
Słabi — dostali taniec.
Głusi — muzykę i śpiew.
Ślepi — malarstwo i podróżowanie.
Starzy — miłość i wesele.
Stare babki — wianki.
Panienki — szable i strzelby.

Dość, że każdy szedł zachmurzony, mówiąc: Co mi potem, co mi to za przyjemność.

Gwiazda, zasłaniając się rąbkiem chmury, uciekła co żywo, a śmiała się serdecznie. Wtem spostrzegła w rowie przy drodze swą siostrę....

— Co tu robisz?.... powiedz!

— Niosłam pieniądze ludziom, ale mię złapali jacyś rabusie, zabrali wszystko i jeszcze o mało życia nie zniweczyli.

O!... jęknęła gwiazda boleśnie, podniosła siostrę i uleciała ku niebu. Gdy stanęły już wszystkie na swem miejscu, rzekł Pan Bóg:

— Będzie jak było.... lecz szczęścia nie będzie bo ludzie nie umieją go zdobyć. By być szczęśliwym, trzeba umieć żyć, działać, myśleć i czuć. Mała część ludzi umie to, ci są szczęśliwi.

BOLESŁAW REDIGER.

Fryderyk hr. Skarbek.

Wybitny ekonomista polski i historyk. Autor „Ogólnych zasad nauki gospodarstwa narodowego", i „Dziejów Księstwa Warszawskiego".

Dnia 15-go marca 1792 roku przyszedł na świat **w Toruniu,** w jednym z domów przy ul. Mostowej (obecnie nr. 14), jeden z najwybitniejszych mężów pierwszej połowy XIX wieku, Fryderyk hr. Skarbek, syn Torunianki hr. Ludwiki z Fengerów i Kaspra hr. Skarbka, birbanta i hulaki. „Urodziłem się — pisze później w swoich pamiętnikach — w chwili gdy ojciec mój wraz z licznemi towarzyszami zabawy na redutach toruńskich z kielichem w ręku kolejne spełniał zdrowia; zaczem poszło, że urodzenie moje ogłoszone zostało hucznym toastem, po spełnieniu którego ojciec do cierpiącej matki mojej pospieszył, aby mnie, nowonarodzonego, powitać".

Pierwsze lata spędził Fryderyk w Toruniu,

w sympatycznej atmosferze domu dziadka, bankiera toruńskiego Jakóba Fengera, gdzie odebrał bardzo staranne wychowanie. Stąd wyniósł — jak sam to przyznaje — „skłonność do pracowitej rządności, zamiłowanie skromnego i cichego życia, oraz odrazę do zbytków", które zaszczepiły się w nim bez jego wiedzy i już do zgonu wiernie mu towarzyszyły. Po śmierci dziadka przeszedł pod opiekę matki, kobiety ze wszech miar niepospolitej, będącej uosobieniem prawości i szlachetności, pięknego typu zacnej matrony, pełnej rezygnacji i poświęcenia. Ze spokojnego domu wszedł teraz jako sześcioletni chłopiec do domu wielkopańskiego, w którym bale i goście były zwyczajnym trybem życia, a spokojność wyjątkiem. Początkowo przebywał wraz z rodzicami w Izbicy na Kujawach, później przeniósł się z niemi do Warszawy, gdzie mimo ruiny majątkowej prowadzono życie na wielką skalę. Niebawem musiał nastąpić powrót na wieś,, do Żelazowej Woli pod Sochaczewem. Napróżno usiłował ojciec Fryderyka ukrywać przed światem swoje beznadziejne położenie materjalne. Napastowany ciągle przez wierzycieli, wyjechał zagranicę, a hr. Ludwika dla ocalenia reszty swego majątku zmuszona była wytoczyć przeciwko mężowi proces rozwodowy.

Odtąd tryb życia w domu rodzicielskim młodego Skarbka zmienił się zupełnie. Prócz zimowej pory, którą spędzano w Toruniu, gdzie hr. Skarbkowa posiadała parę domów, reszta roku upływała wśród prac wiejskich, podczas gdy Fryderyk przykładał się pilnie do nauk pod umiejętnem kierownictwem Mikołaja Chopina, przyszłego ojca wielkiego kompozytora. Mikołaj Chopin zajmował się sumiennie wychawaniem i kształceniem chłopca, który zachował dla swego nauczyciela z lat chłopięcych do ostatnich chwil życia szczerą wdzięczność i zawsze wyrażał się o nim z najwyższem uznaniem.

W roku 1805 oddano Fryderyka Skarbka do świeżo założonego liceum w Warszawie, którego rektorem był Toruńczyk Samuel Bogumił Linde, zasłużony twórca „Słownika Języka Polskiego". Zaprzyjaźniony z hr. Ludwiką, której w Toruniu udzielał za młodu korepetycyj, zajął się z całą gorliwością swym nowym wychowankiem, dopuszczając go też niejednokrotnie w charakterze pomocnika do swych prac naukowych.

Trzy lata później ukończył Skarbek tę wyjątkowo dobrze postawioną uczelnię i udał się wkrótce, po zebraniu przez matkę potrzebnej ilości pieniędzy, do Francji, gdzie w paryskiem Collège de France słuchał ekonomji politycznej, a przytem uczęszczał również na wykłady z dziedziny nauk humanistycznych. Po powrocie do kraju wstąpił do służby państwowej w ministerjum skarbu; niebawem jednak porzucił urzędowanie i osiadł na wsi.

Pracę na polu literackiem rozpoczął wcześnie; już jako szesnastoletni młodzieniec drukował swoje utwory poetyckie na łamach pism warszawskich. W r. 1814 zasłynął jako znakomity mówca dzięki przemówieniu, które wygłosił w Sochaczewie przy zwłokach księcia Józefa Poniatowskiego, sprowadzonych wówczas do kraju. Następny rok przyniósł pierwsze prace publicystyczne; umieszczał swoje artykuły, w „Pamiętniku Warszawskim", który w latach następnych zaliczał go do stałych współpracowników. Skarbek podpisywał tu swoje rozprawki przeważnie pseudonimem: Agapit Lizewicz. W roku 1818., uzyskawszy doktorat honorowy na uniwersytecie krakowskim, przyjął katedrę ekonomji politycznej w uniwersytecie warszawskim, którą zajmował do r. 1830, t. j. do chwili zwinięcia uniwersytetu. Kiedy teść Skarbka — Skarbek ożenił się w r. 1818 z Praksedą Gzowską — dowiedział się, że zięć zamierza przyjąć profesurę uniwersytetu, oburzył się strasznie, uważając piastowanie urzędu profesora przez hrabiego za rzecz niesłychaną i nieomal za hańbę.

Po daremnych, usiłowaniach odwiedzenia Skarbka od wykonania tego zamiaru, począł nawet namawiać córkę, żeby porzuciła męża; spotkał się jednak ze stanowczą odmową.

W uniwersytecie należał Fryderyk hr. Skarbek do profesorów najwięcej poważanych; gdyby nie niechęć pewnych kół rosyjskich, został by niewątpliwie rektorem tej najwyższej uczelni polskiej w granicach Królestwa. Jako profesor uniwersytetu wydał w tym okresie kilka dzieł z dziedziny ekonomji, w języku polskim i francuskim, a od roku 1821 pracował niemniej intensywnie w Warzsawskiem Towarzystwie Przyjaciół Nauk, początkowo jako członek przybrany, później jako członek czynny, zarządzając bibljoteką i muzeum Towarzystwa. Z ramienia Towarzystwa Przyjaciół Nauk występował często jako mówca, święcąc na tem polu tryumfy. Przy wszystkich tych zajęciach znajdował jeszcze czas na ulubioną prace literacką; napisał przed rokiem 1830 cały szereg komedyj,, które grano w Warszawie w ówczesnym Teatrze Rozmaitości, i parę powieści, obyczajowych i historycznych. W latach 1822 i 1823 wydawał wraz z Brodzińskim i Skrodzkim wspomniany już „Pamiętnik Warszawski", zasilając pismo wydatnie swojemi artykułami. Około r. 1828 otrzymał urząd Referendarza Stanu i członka Komisji Spraw Wewnętrznych. Na tem stanowisku przeprowadził utworzenie przytułku dla żebraków warszawskich i organizację instytutu dla dzieci moralnie zaniedbanych.

(Dokończenie nastąpi).

Karczma na bezdrożu.

Opowieść z XV stulecia.

Powoli wlokły się sanie skórami ładowane po wyboistej drodze. Mgła spadła w nocy a teraz ruda, słońcem wschodzącem przesycona, rozstępowała się ukazując bór cudny, biały, migotliwy. Wicher dął z północy, ostry, przejmujący, niósł rozwiewne śniegu welony, strzepywał okiść z drzew. Nawet sanie Jura Bendońskiego omarzły igiełkami białemi, nawet baranice i czapy posiwiały a gniadosz wokół pyska wąsiska dostał białe, jakby mu roków było ze trzydzieści.

— Całą noc tłuczemy się i tłuczemy a jeno bór a bór. Bies nas wodzi, czy co?

Siedzący obok Jura stary chłop o omarzłych wąsach, głową kiwnął:

— Dyć może i wodzi....

— Ni śladu ludzkiego osiedla, takbym spał a jeść mi się chce. Powieki mi na oczy lecą, takim senny.

— Nie dajcie się, bo zamróz chwyci i po was. Wytrzymajcie jeszcze ociupinkę, musi się to skończyć i dojedziemy kanyś ku ludziom.

— Z woza zleź gałęzi uzbierać, ogienek grzeczny założyć i bodaj tę kiełbasę zagrzać, co ją pani matka do torby włożyła. Już mi to zimne jadło kołkiem w gardle stoi.

— Dojedziemy do sadyb, musi być gdzieś zajazd aboli karczma, jeno we mgle nie widno. Wio! gnady... A he! i onby już spoczął, ledwo bokami robi.

Jur Bendoński napróżno wytężał wzrok, w złoto rudej mgle spał jeno bór, jodły potężne tonęły w niej, że zdawało się, że się zlewają z przestworzem, plątanina paproci, krzewów czernicowych stała się dołem, srebrna od mrozu, iskrząca w promieniach słońca

— Dym.

Lakonicznie rzucił stary Tomasz, wskazując suchym palcem na prawo a koń też zdaje się poczuł bliskość ludzkiego osiedla, bo nie zachęcany batem, ruszył nagle z kopyta.

— Gdzie?

— A no tam, hen na prawo, widzicie?

— Widzę.

— Zajazd pewnikiem.

— Może i to być, bo coby robiła taka chata samotna, jak gdyby zgubiona wśród boru.

Sanki zatrzymały się przed domkiem drewnianym, ochędożnym, ganeczek przed nim podpierały dwa bombiaste słupy, wiechą zieloną, wiszącą ponad drzwiami, wicher kołysał. Małe zamarznięte okienka nie dozwalały zajrzeć do wnętrza, ale z komina dym walił czarną, rozwiechrzoną smugą i głodny żołądek Jura rozkoszował się nadzieją.

— A he! jest tam kto?

Domostwo milczało obojętnie, nikt nie wyjrzał, nikt drzwi nie uchylił. Jur ze sań się wygramolił i podkutym butem uderzył w drzwi, aż jęknęły, jak jakaś żywa a sponiewierana istota.

— Jest tam kto? Bo drzwi wywalę.

— Cóż waść w takiej gorącej wodzie kąpany? Dyć otwieram. Dźwirze waść rozwalić chce, gwałt niewieście samotnej czyniąc.

Z otwierających się drzwi buchnął gorący zapach piwnej polewki i połaskotał podniebienie Jura. W izbie było mroczno, u komina paliło się łuczywo, kapiąc żywicą, w żelaznym garze warzyła się snać potrawa dla bydła, ale Jur rozglądać się nie miał czasu, całą bowiem jego uwagę pochłonęła stojąca przed nim niewiasta. Było i na co patrzeć: wysoka, rosła, w hajdawerach i jałowicznych butach, z koszulą białą, na krajkę barwną u szyi związaną, w całej postaci nic nie miałaby kobiecego, gdyby nie usta młode, kapryśne i delikatny rysunek owalu. Pod silnie zarysowaną brwią płonęły oczy czarne, ponure, wpół przysłonięte ciężką powieką. Podparła się w boki i patrzyła na gościa ciekawie i niechętnie.

— Niech będzie pochwalony....

— Przerwała mu:

— Waść tu poco?

— Tyż! Wieche waćpani ma nad osiedlem, czy nie ma?

— Mam.

— A no.

Jur baranicę zrzucił, gibki, smukły, głową dosięgał powały. Z czarnych oczu kobiety zniknęła niechęć, została ciekawość.

Szybkie spojrzenie przesunęło się po świtce szarej, czapie baraniej, zatrzymało chwilę na sygnecie herbowym i kapryśne usta wydęły się pogardliwie, lekceważąco, nie sobół ci żaden, ani lis, jeno zwykły szarak.

Wskazała stół:

— Rozgość się waść.

— Koniowi siana i owsa, mnie i mojemu człowiekowi polewki z serem. Przespać się jest gdzie?

— Rozłóż się waść baranice na ławie, to i łoże gotowe.

— Inkszego nima?

— Dla waści dobre i to, młody, to i na gołej ziemi śpi, jak zabity. Stajnie otworzyć?

— Juści.

Wyjrzała na dwór.

— Wjedźcie ta w ogrodzenie, stajnia otwarta, jeno kołek wyjmiecie.

Poszła do komina, dorzuciła drew, dym snuł się po izbie i w gardle dławił. Jur patrzył za nią, dziwnie inną mu się zdała od wszystkich znanych dotąd kobiet.

— Samiście na tem odludziu?

— Sama? Nie, mój jeno do boru poszedł, drew urąbać. Poglądacie na mnie, jakbyście hajdawery raz pierwszy w życiu widzieli.

— A bo i na niewieście pierwszy raz widzę.

Zaśmiała się:

— Nawykłam i dobrze mi z niemi, silnam, za chłopa stanę a tu bór i ludu złego dość, tak przezpieczniej. Zawieja, co?

— Strasznie dmie, świata Bożego nie widać.

— Gdzieście jechali?

— Ku Poznaniowi.

— Toście i pobłądzili.

Spojrzała ku Jurowi z ukosa, bo pomyślała o targu na skóry, co się zawsze w Poznaniu odbywał na świętą Łucję i chcąc się upewnić, zaśmiała się nagle i utkwiwszy w nim zuchwałe, czarne oczy, pytała:

— A cóż jak, wam drogi nie pokaże?

— Owa! Prosto nosa pojade i zawdy gdzieś ku ludziom trafie.

— Do pomorzańskich zbójników.

— Nie ułomek ze mnie, to się i zbójnikom nie dam.

Przymrużyła powieki:

— Skóry, łakoma to rzecz.

Jurowi łyżka z polewką w powietrzu zawisnęła:

— A skąd jejmość wie, że ze skórami jade?

— A wiem i to wiem, że asan pierwszy raz we świat jedzie z ojcowskiego zaścianka. No, prawda jest?

— Prawda.

W dłonie plasnęła.

— Ano widzicie. Czarownica ze mnie, jak was zaczaruje, to ani do dom nie traficie, ani we świat.

Machnął ręką.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

01097

Rozmaitości

Inteligencja krowy.

Niedawno — pisze korespondent pewnej gazety szwajcarskiej — widziałem krowę bardzo inteligentną. Oto podniosła szerokim pyskiem pokrywę poidła przybitego do ściany i piła z niego dość długo. Moim zdaniem, poidło nie mogło zawierać tyle wody; gdy więc krowa odeszła, zajrzałem do niego. Nieco zaledwie wody było w niem na dnie; u tylnej jednak ściany widniał język metalowy, który zwierzę umiało nacisnąć, wsunąwszy pysk do poidła, przez to zaś naciśnięcie otwierało kran automatyczny, z którego ciekła woda, dopóki łeb zwierzęcia tkwił w poidle. Jak opowiadał mi dozorca obory, krowa ta odrazu pojęła działanie mechanizmu i gdy tylko monter odszedł, podeszła sama do poidła, podniosła pokrywę i znów nacisnęła pyskiem język metalowy. Reszta bydła poszła za jej przykładem i zadowolona była widocznie z nowego urządzenia. I konie, którym urządzono w stajni takie poidło, szybko przyzwyczaiły się do nowego wynalazku, a przytem nabrały do niego takiego zaufania, że zaczęły pić częściej, ale za to w mniejszej lości, zamiast opijać się na zapas.

Nierdzewiejąca stal.

Z Londynu donoszą o nowym wynalazku, posiadającym dużą doniosłość dla przeróbki stali na rozmaite przedmioty użytkowe.

Mianowicie dr. Hardfield, kierownik laboratorjum odkrył sposób fabrykowania stali wcale nierdzewiejącej.

Stal ta różni się zupełnie od dotychczasowej stali chromowej i daje się obrabiać na zimno, jakoteż na gorąco, a odporna jest na działanie wody morskiej, kwasu saletrzanego oraz wszystkich kwasów, znajdujących się w pożywieniu ludzkiem.

Uczciwi... złodzieje.

Bywają i tacy coprawda w Ameryce — w Kanadzie. Wracając do domu wieczorem niejaki pan Combe z Winnipegu, został zatrzymany przez bandytów i okradziony. Zabrano mu złoty zegarek i 45 funtów szterlingów, osiągniętych z koncertu na gwiazdkowe upominki dla najuboższej dziatwy.

Następnego dnia jakiś oberwaniec zjawił się do biura pana Combe'a i pozostawiwszy u kasjera paczkę, szybko się oddalił.

Po otwarciu paczki znaleziono w niej zegarek pana Combe'a i skradzione pieniądze wraz z notatką:

Bardzo przepraszamy za to, co zrobiliśmy. Nie wiedzieliśmy, czyje to były pieniądze. Wydaliśmy 8 szylingów, zanim przeczytaliśmy ranne gazety.

Podpisano: Złodzieje.

Zagadki

Rozwiązanie zagadek z n-ru 39 „Gościa Niedz.".

I. Szarady: A — las — ka.
II. Zagadki: Matka i syn.

Trafne rozwiązanie nadesłała Bronisława Szeflerówna, Mokre; Cecylja Pawlikowska, Rychnowo.

Nowe zagadki.

I.

Szarada.

Pierwsze wprost, równie jak wstecznie,
Wykrzyknikiem jest koniecznie,
Drugie, trzecie, ciasne, ciemne.
Mieszkania to są podziemne.
Wszystkie w grze w karty znajdziecie,
A wśród ludzi w wielkim świecie
Zwykle one się oddają
Tym, co do nich prawo mają.
Każda grzeczna gospodyni
W swym je domu gościom czyni.

II.

Łamigłówka sylabowa.

Wyrazów 15. Początkowe litery, czytane na dół, złożą imię i nazwisko poety polskiego. Sylaby: A — Ce — cho — cyl — do — gła — i — ja — jeż — Jó — ka — ka — kasz — Lud — Łu — ła — me — na — o — ry — rza — sa — sar — sioł — sza — ta — u — u — wa — War — wik — zio — zo.

Znacznie wyrazów: 1. imię męskie zdrobniałe; 2. jeden z organów; 3. imię męskie; 4. zwierzę; 5. część nogi; 6. jarzyna wiosenna; 7. zjawisko natury; 8. zwierzę leśne; 9. imię jednego z apostołów; 10. zwierzę pociągowe; 11. stolica w Europie; 12. część świata; 13. imię żeńskie; 14. napój; 15 przyrząd do szycia.

Rady i myśli

Próżnowanie osłabia, praca wzmacnia; tamto starość przyśpiesza, ta młodość przedłuża.

* * *

Lenistwo jest głupstwem ciała, a głupstwo lenistwem duszy.

* * *

Żyj tak, jakbyś miał umrzeć jutro, pracuj tak, jakbyś miał żyć wiecznie.

* * *

„Pracuj lub umieraj" — tak brzmi prawo natury; jeśli przestaniesz pracować, umrzesz fizycznie i moralnie.

* * *

Łagodność jest siłą człowieka rozsądnego; gniew siłą szaleńca.

* * *

Postępuj zwolna, a nie potrącisz nikogo; jeżeli kogo uderzysz, będzie to słabiej.

* * *

Ten tylko chełpi się znakomitem pochodzeniem i starożytnym rodem, kto nie może szczycić się własnemi zaletami i zasługami.

Nakładem Pomorskiego Zakładu Wydawniczego. — Czcionkami Pomorskiej Drukarni Rolniczej S. A. w Toruniu.
Za redakcję odpowiada Władysław Kłosowski.

Książnica Kopernikańska w Toruniu